Duch:

11: Anioł o czarnych oczach

Słyszałem za plecami wściekłe piski licznych szaraków. W hali zastrzeliłem ich już co najmniej dwadzieścia, a wciąż miałem wrażenie, że goni mnie całe stado. Czułem w płucach ogień, ale wiedziałem, że nie mogę się zatrzymać. Daleko przed sobą zobaczyłem już swój ratunek - starą, metalową drabinkę. Stała spokojnie na pierwszym piętrze, przyczepiona do balustrady. Miałem do niej jakieś dwa metry. To też był mój system; była wyłącznie awaryjna i żeby ją zwolnić, musiałem trafić w blokadę. Normalnie było to banalne, ale teraz, gdy goniło mnie stado szaraków? Musiałem spróbować i się zatrzymać. Na moment chociażby. Jeszcze w biegu uniosłem karabinek do ramienia i zatrzymałem się. Oczy zaszły mi mgłą od ciągłej ucieczki i ledwie widziałem cel. Wymierzyłem i rozległ się strzał. Pudło. No po prostu cholerne pudło! Wymierzyłem znów, wstrzymując z całej siły oddech i w tej chwili gdzieś z boku, z jakiejś starej szafki skoczył na mnie szczur. W ostatnim momencie przesunąłem lufę i niemal z przyłożenia wypaliłem mu w bok. Uniosłem znów broń i wymierzyłem w dużą, metalową puszkę po farbie stojącą na podeście pierwszego piętra, tuż pod drabiną. Wystrzeliłem po chwili i spostrzegłem, że tym razem się udało. Puszka spadła, pociągnęła łańcuch, a ten z kolei przewrócił drabinę. Ta, powoli, niemal majestatycznie przechyliła się i runęła z hukiem, zwisając z barierki pół metra nad ziemią. Odwróciłem się na moment i serią ostatnich kilkunastu pocisków trafiłem kilka z goniących mnie szaraków. Wciąż było ich jednak za dużo. Rzuciłem się do biegu, szybko zmieniając magazynek. Pusty rzuciłem gdzieś obok, potem go znajdę. Z ładownicy na taktycznej kamizelce wyciągnąłem kolejny magazynek i wsunąłem do broni. Automat przewiesiłem przez ramię i gdy byłem dwa kroki od drabiny, wyskoczyłem w powietrze. Chwyciłem się od razu trzeciego szczebla i uniosłem nogę, by wyjść wyżej, ale w tym momencie poczułem potwornie ostry, przenikliwy ból w prawej łydce. Adrenalina zrobiła jednak swoje i powoli, krok po kroku, wspinałem się po drabince. Dopiero na piętrze popatrzyłem na nogę i z przerażeniem zobaczyłem, że na mojej łydce wciąż wisiał szczur, wyjątkowo duży, niemal jak cholerny jamnik. Na moje szczęście wciąż miałem na sobie FOO-1 i jego ostre kły nie do końca poradziły sobie z ochronnymi spodniami. Jednak dziura w spodniach wciąż się powiększała i zwierzak uparcie coraz bardziej rozrywał mi łydkę. Bez namysłu wyszarpałem nóż z pochwy i z całej siły pchnąłem go mocno od góry. Ostrze trafiło go tuż za uszami, rozłupało czaszkę i szczur zamarł w bezruchu. Chyba nawet nóż doszedł do mojej nogi, ale to nie miało w tej chwili znaczenia. Padłem na moment na plecy i oddychałem ciężko. Po chwili dopiero chwyciłem martwe już zwierzę i oderwałem od nogi z krzykiem pełnym bólu. Rzuciłem szczura gdzieś na dół i wyciągnąłem z bocznej kieszeni medyczny zestaw. Najpierw użyłem jednej automatycznej strzykawki z jakimś chemicznym miksem. Rana niemal od razu przestała boleć, chociaż nadal obficie krwawiła. Zaraz potem polałem ją obficie czystą wódką z pełnej "małpki". Wysokoprocentowy alkohol o wiele lepiej nadawał się do odkażania niż dawno przeterminowana woda utleniona. Piekło i szczypało mnie jak diabli, ale pozwoliłem sobie tylko na cichy jęk przez zaciśnięte usta. Widziałem, że zdążył odgryźć mi spory kawał skóry, ale dzięki ochronnemu strojowi nie zdążył szarpnąć mięśni. Trudno, potem będzie szycie. Teraz sięgnąłem po drugą paczkę z zestawu medycznego i całą ranę pokryłem białym, antyseptycznym proszkiem. Wtedy dopiero sięgnąłem po bandaże i plastry. Gdy wreszcie rana była jako-tako zabandażowana, położyłem się na plecach i oddychałem ciężko. Teraz poczułem, jak bardzo trzęsą mi się ręce, jak moje plecy były całkiem mokre i jak potwornie byłem zmęczony. Coraz trudniej było mi trzymać podniesione powieki i czułem, że mógłbym tak leżeć bez końca. Uznałem że kilka chwil spokojnego od-

poczynku mi nie zaszkodzi i nawet nie wiem, kiedy, przymknąłem oczy...

Pierwszą rzeczą, jaka do mnie dotarła, było uderzenie w czoło. Właściwie nawet nie jedno uderzenie, ale liczne, regularne uderzenia. Po chwili poczułem, jak coś spływa wzdłuż mojego nosa aż do ust. Gdy poczułem na ustach tak bardzo charakterytyczny, kwaskowo-ostry smak, moje nerki zareagowały natychmiast, wyrzucając z siebie ładunek adrenaliny. Momentalnie zdałem sobie sprawę że padał deszcz i przez dziurawy dach pojedyncze krople padały wprost na mnie. Przewróciłem się na bok i poczułem w ustach smak kwaśnego opadu. Nie byłem w stanie powstrzymać odruchu, zdołałem tylko podczołgać się pod krawędź podestu, na którym leżałem i zwymiotowałem gwałtownie, wyrzucając z siebie jakieś marne resztki dawno zjedzonego posiłku. Potwornie łupało mnie w skroniach, ale jeszcze bardziej bolała mnie noga. W hali jednak panowała cisza. Tylne drzwi Rosomaka były zamknięte, nie widziałem nikogo. Wiedziałem, że po drabince na pewno nie będę w stanie zejść, zresztą, były pod nią szaraki, zarówno te, które udało mi się zastrzelić, jak i te, które odżywiały się towarzyszami, którzy oddali życie w walce. Domyśliłem się więc, że nie mogłem być zbyt długo nieprzytomny, najwyżej kilka godzin. Na szczęście wystarczyło tylko się podnieść, przejść kilkanaście metrów i zjechać po linie wprost na dach mojego Rosomaka, do górnego włazu. Właśnie - "tylko". Chwyciłem się mocno barierki i bardziej podciągnąłem na niej niż stanąłem na nogi. Niemal od razu przez zaciśnięte z całej siły zęby zawyłem z bólu, ale utrzymałem się na nogach. Powoli, krok za krokiem, szedłem w stronę liny. Pełzłem w powolnym tempie, traktując ukochaną "efenkę" jak laskę. Zostało mi jeszcze kilka metrów i czułem, jak opadam z sił. Oczy zachodziły mi mgłą i miałem wrażenie że zaraz stracę przytomność. Wreszcie dotarłem do liny. Nie wiem, co sobie pomyślałem. Chyba wyobrażałem sobie, że dam radę utrzymać się na linie i powoli opuścić w dół. Oczywiście, było zupełnie inaczej. Gdy tylko poczułem w dłoniach linę, moje ciało ogarnęła prawdziwa euforia. Ułamki sekund swobodnego spadania rozciągnęło się do kilku sekund prawie świadomego lotu. Dopiero potem spotkałem się z brutalną rzeczywistością i pancernym dachem Rosomaka. Do mojej świadomości ledwo dotarł huk, z jakim rąbnąłem plecami o metal, zupełnie luźno, niczym przysłowiowy worek ziemniaków, a zaraz potem przytłumione, przerażone piski, dochodzące jakby ze środka pojazdu. Z ogromnym trudem wyciągnąłem nóż i jego trzonkiem uderzałem w dach pojazdu, wybijając sygnał S.O.S. Odczekałem chwilę, po czym ponowiłem sygnał i usłyszałem pod sobą jakieś trzaski. Wtedy uświadomiłem sobie, że leżę na pokrywie włazu. Ostatkiem sił odturlałem się na bok, a gdy pokrywa się uniosła, wciągnąłem do środka. Kolejny upadek na twardą, metalową podłogę znów odciął mnie całkiem od rzeczywistości.

Otworzyłem oczy - a przynajmniej tak mi się wydawało, bo wokół mnie panowała kompletna ciemność. Nagle gdzieś z boku pojawiło się malutkie, rozmyte światło, właściwie nawet nie światło, tylko delikatny poblask. W zasięg mojego wzroku wsunęła się niewyraźna, młoda, kobieca twarz. Skojarzyła mi się z aniołem o czarnych oczach. Jej sarnie oczy patrzyły na mnie chwilę, a potem poczułem, że ktoś położył mi dłoń na czole. Była sucha i zimna. Moje powieki zrobiły się potwornie ciężkie i przed oczami znów miałem ciemność.

Co jakiś czas otwierałem oczy - albo przynajmniej tak mi się wydawało - i za każdym razem widziałem nad sobą tą tajemniczą postać, rozmytą jak we mgle. Wydawało mi się że powinienem był ją znać, ale nie byłem w stanie zebrać myśli. Tak samo, jak nie byłem w stanie w jakikolwiek sposób zorientować się w upływającym czasie.

Poczułem ból. Od bardzo dawna to uczucie kojarzyło mi się pozytywnie, przecież jak coś boli, to znaczy że człowiek żyje, prawda? Na razie nie do końca byłem pewny co mnie bolało, coś jakby wszystko i nic. Jednak po chwili ból zaczął koncentrować się na mojej nodze. Na tyle mocno, że pozwoliłem sobie na ci-

chy jęk.
- Domiś, on się chyba budzi. - Usłyszałem gdzieś z boku, ale nie miałem siły ruszyć choćby głową. Za to przed moimi oczami pojawiła się ta sama, niewyraźna twarz o czarnych, nieskończenie głębokich, czarnych oczach.
- Jesteś aniołem? - zapytałem niezbyt przytomnie, szorstkim głosem, uświadamiając sobie, jak bardzo wysuszone mam gardło.
- Co? - zapytała dziewczyna. - Głupek - dodała. - Jestem Dominika. Nie pamiętasz? -
- A ja jestem Maciek - powiedziałem ni z gruszki, ni z pietruszki, nie kojarząc w ogóle, co mówię. Dominika… Coś zaczęło mi świtać. Chyba. Nagle mój wzrok zaczął się coraz bardziej wyostrzać. Patrzyłem na pochyloną nade mną dziewczynę i teraz dopiero uświadomiłem sobie, dlaczego w pierwszej chwili nie poznałem Dominiki. Zmieniła się. Jej chuda twarz nieco się zaokrągliła, ostre i wyraźne kości policzkowe nieco zniknęły i zdałem sobie sprawę że dziewczyna była po prostu ładna. Mimo tego że miała krótko ogolone włosy. Teraz dopiero to dostrzegłem.
- Jesteś ładna - powiedziałem cicho. Dominika tylko się uśmiechnęła, po czym uklęknęła obok mnie i delikatnie wsunęła rękę pod moją głowę. Poczułem że nieco mnie uniosła i coś przysunęła mi do ust. Poczułem dotyk metalu, a potem wilgoć i silny smak środków odkażania wody. Wiedziałem, więc że woda była zdatna do picia. Wypiłem kilka sporych łyków i Dominika odsunęła wojskową menażkę.
- Lepiej? - zapytała z uśmiechem. Odetchnąłem ciężko, czując, jak chłodna woda wreszcie zwilża mi gardło wyschnięte na wiór.
- Tak - powiedziałem z ulgą. Spojrzałem jej w oczy, a potem dostrzegłem na jej policzku ogromnego, sinofioletowego siniaka. W ułamku chwili przypomniałem sobie wszystko. Uniosłem dłoń w jej stronę i nie mogłem nie zauważyć, że drgnęła, chcąc odskoczyć, ale powstrzymała się w ostatnim momencie. Powoli oparłem dłoń na jej siniaku i gładziłem jej skórę samymi koniuszkami palców.
- Przepraszam cię za to - westchnąłem bezgłośnie, samym ruchem warg. Dominika pokręciła głową i widziałem, że zaczynała już płakać.
- Gdyby nie ja, gdybym cię posłuchała, nie doszłoby do tego wszystkiego - powiedziała, a w zasadzie już tylko wypłakała. Poczułem, jak z jakiegoś powodu z moich oczu też zaczęły płynąć łzy.
- Opowiedz mi - poprosiłem. - Opowiedz mi o tym wszystkim, co się wydarzyło - dodałem. Dominika otarła wierzchem dłoni łzy i zaczęła opowiadać - o tym, jak zwaliłem się na podłogę Rosomaka przez sufitowy właz, o tym, jak dzięki doświadczeniu pielęgniarki zajęła się moją raną, pozszywała moją nogę nićmi krawieckimi i przez kilkanaście kolejnych dni opiekowała się, mając nadzieję, że nie zejdę jeszcze tym razem z tego świata. Ale chyba tym razem znów mi się udało...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

MarcinD, dodano 11.09.2019 10:38

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.